

Relacja WACŁAWA KOŁANIAKOWSKIEGO nagrana dnia 28.11.89 r.

(autor nie wyraził zgody na publikację wspomnień w czasopiśmie)



Ja, Wacław Kołaniakowski, urodzony 2.02.1916 roku, Woronów, województwo Stanisławów, od 1936 roku mieszkałem w Krakowie, i tam mnie wojna zastała. 4 września był rozkaz prezydenta miasta Krakowa no i władz Sapiehy, żeby młode pokolenia, młodzi zdolni do walki z okupantem ~~xxxi~~, z Niemcami, żeby szli na wschód i tam będzie stawiany opór. I stąd wyruszyliśmy, ja i koledzy, ale będę w tej chwili o sobie mówił, w kierunku wschodnim. Ale nie miało to formy zorganizowanej, każdy szedł ot tak sobie.

Alboż 15, albo 16 września dotarłem do Stanisławowa. Tam zamieszkałem, o ile pamiętam, w domu przy ulicy Długiej. Był to zdaje się jakiś dom klasztorny, wychowawczy, czy coś takiego, długi, jak sobie pamiętam. Żadnych organizacji wojskowych tam nie było. ~~Były~~ Były nasze wojska, ale to skoncentrowane szły do wyjazdu do Rumunii.

Przypomniało mi się, jak 17 września, kiedy byłem na ulicy Halickiej, gdzie wojska nasze stały jeszcze, były pogłoski, że na przedmieściach Stanisławowa już są Rosjanie. To był straszny widok, jak sobie przypominam, to wydawało mi się, że to słońce, że to wszystko jest takie ciemne.

No i wtenczas, kiedy rzeczywiście się już ~~pokazali~~ pokazali żołnierze rosyjscy, poszedłem z powrotem do tego domu i część kolegów zaczęła już wracać z powrotem w stronę Krakowa, w stronę Przemyśla i do Krakowa. Ja jakoś, nie pamiętam już z jakich względów tam zostałem i dopiero w późniejszym terminie doszedłem do wniosku, że trzeba wracać. Mnie nie było obce to, co Rosjanie tam robią. Bo właściwie byłem wychowany tak, że uważałem, że nie ma dobrego komunizmu. To, co wszystko do mnie docierało o morderstwach, te sprawy stalinizmu, tym przesiąknięty byłem i uważałem, że tam nie

jest moje miejsce, że ja muszę wrócić do Krakowa.

I którego tam dnia, nie pamiętam kiedy... Pociąg był straszny, bo trzeba było jechać do Lwowa na dachu. Tak był przetłoczony. W tym czasie mojewalizki zabrali, zostałem ~~zupełnie~~ bez żadnych możliwości życia. Do Przemyśla było już iżej, nie mam takich szczególnych wspomnień.

W Przemyśle zatrzymałem się u znajomych znajomego, który ~~zauwa~~ zdaje się nazywał się Stanisław Winnicki. Tam był ojciec i matka jego i myśmy tam nocowali. Aż któregoś dnia, nie któregoś, tylko 25 listopada 1939 roku wieczorem z domu przyszli i zabrali. To byli żołnierze, ~~jeszcze nie NKWD~~ domyślałem się, że nie NKWD. To nie była masowa akcja. W tym czasie doprowadzono do ~~więzienia~~ tego więzienia, co mnie, kilku, kilkunastu Polaków, i mam wrażenie, że im chodziło o to, niedokładnie sobie przypominam, ale, że niemeldowany, w każdym razie pretekst był błaży. Bo absolutnie nie przypuszczam, żeby ~~zawzięci~~ ci ludzie, u których mieszkałem, to <sup>Polacy</sup> naukali. To zdecydowanie odpada, to byli w stu procentach ludzie zaufani, którzy nie mogli brudzić się donosicielstwem.

Kiedy wieczorem ~~zax~~ znalazłem się już w więzieniu, w Przemyśle, to zdaje się przy rynku jest, to czekałem i coraz więcej ~~tych~~ Polaków było. O ile sobie przypominam, bodajże raz mnie wzywali na przesłuchanie. Ja powiedziałem, że chcę przejść do Krakowa, bo tam mieszkałem. To nie można, bo to jest granica i ty jesteś szpieg, ty jesteś wrog Związku Radzieckiego i dlatego ty chcesz uciekać. Bo gdybyś ty był dobrym, mądrym i rzeczonym obywatelem, to byś ty nie uciekał. I tak to wielu innych, nie tylko ja, przychodziło.

To był główny argument, do którego oni się przyczepili. Szpieg, wróg. Ale to zostało i nie wzywali mnie więcej.

W styczniu 1940 roku kazali nam zbierać wszystkie rzeczy i ~~do~~ - do wagonów bydłych. Śnieg, wieczorem to było. I zawiezli nas do Kijowa. Tylko Polacy byli i tylko mężczyźni, żadnych różnokrajowych nie było. jeszcze.

W więzieniu w Kijowie, muszę powiedzieć, że nawet w porównaniu ~~xxPrzemyśla~~ z Przemyślem było ładnie, bo było wygodnie i taka celi jak to dwunastometrowe mieszkanie, tam nas chyba sześciu było. No ale później już zagęszczało się. No a co najważniejsze dali nam ~~Bodajże~~ łaźnię, wykąпали nas. Byłem, no, taki spokojny.

Bodajże na drugi czy trzeci dzień wzywają mnie na śledztwo. Byłem pierwszy z tej celi. Śledczym był młody chłopak z jednym kubikiem na pagonach, podporucznik chyba. On ~~na~~ nie znając nic bliżej opierał się na papierach, które przesłali z Przemyśla. Że wróg, szpieg i że chciał uciekać. I pod tym kątem on prowadził śledztwo. No, to był absurd, ale nic się nie dało wytłumaczyć. On w pewnym momencie pokazuje mi dłoń i powiada "Tu mi włosy wyrosną, jak ty zobaczysz Polszczu." Człowiek młody, nieprzyzwyczajony do tych rzeczy, to było dla mnie straszne.

O ile sobie pamiętam, może jeszcze raz mnie wzywali jako tego szpiega i na tym się skończyło.

O zwolnieniu nie myślałem i nikt nie myślał. I w Kijowie, i w Przemyślu. Kierunek był ogólnie taki, w rozmowach w celi, że oni wiozą Polaków na roboty na Syberię. I nie było wypadku, żeby kogoś z celi zwolnili.

To kijowskie więzienie to jest zdaje się więzienie, co jeszcze caryca Katarzyna. Łukoniawka czy ~~jak~~ jak ona się nazywała?

Pamiętam, że jak przywieźli nas do Charkowa, to była jesień. \* Po czym poznaję, że jesień? Bo dali nam zupeł, dużo jarzyn, co przedtem się nie praktykowało. A że to był punkt przejściowy, to pewnie uważali, że muszą nas nakarmić.

W Kijowie zapadł wyrok. Sąd odbywał się tak: wzięli nas, kilkunastu



Polaków, bo nie tylko ja sam, do tej ich kibitki, do tej czarnej suki, zawieźli do gmachu i kazali jeden obok drugiego siadać na korytarzu. Wołali i każdego wchodził.

Tam siedział enkawudzista, nie wiem, jaki stopień miał, i ~~powiadał~~ czyta, że z artykułu takiego a takiego jesteś skazany na 10 lat robót. A w tym artykule mieściło się, że szpieg, że chciał uciekać ze Związku Radzieckiego itd. A to wszystkie te artykuły takie były. Nie wymienił, że za to i tamto, tylko z artykułu, na 10 lat robót. Ale gdzie i co to też nie wiedziałem. Nawet muszę powiedzieć, że się niewiele zastanawiałem, ~~podpisałem~~ No, podpisałem, bo ta formalność musiała być. Strasznie się tym jakoś nie przejąłem. Bo ja nie widziałem możliwości zwolnienia, jak wielu innych Polaków.

No i taki sąd był, ani obrońcy, ani sędziego.

Po tym tak zwanym wyroku wysłali nas już do Charkowa.

(ze str. 3)

Długo nas tam nie trzymali. Stamtąd koleją, wagonami bydlęcymi - do Archangielska... To, że bydlęce, to jeszcze nic. To jeszcze dało się wytrzymać, bo były prycze. Natomiast było strasznie, kiedy dostaliśmy śledzie, słone, a wody nie. Muszę powiedzieć, że to jest straszne. Jak ja sobie dzisiaj to przypomnę, to jest wprost nie do wytrzymania. Kiedy człowiek patrzył na ten śnieg, no i był bezsilny. A zjadł te śledzie, bo był głodny.

No i tak dojechaliśmy do Archangielska. No ale to nie tak, że jechaliśmy, ale staliśmy na bocznicach, później kontrole, czy ktoś nie uciekł, pukali po wagonach. Ale nikt nie uciekał, to wszystko było przemęczone, zresztą gdzie uciekniesz, jak to nie swój kraj? Jest to straszne przygnębienie, no ale...

W Archangielsku, o ile sobie pamiętam, były takie ziemianki. Ale Polaków tam nie dali. Już byli więźniowie-Rosjanie, o ile sobie przypominam, to tylko kryminalni. Oni później dzierżyli nad nami władzę, w tym sensie, że brygadzysta, dziesiętnik, setnik - to

wszystko byli Rosjanie. I oni mieszkali w ziemiankach, a myśmy mieszkali w namiotach. Było to jeszcze względnie dobrze, jak na tamte warunki. To była jesień.

W Archangielsku byłem, myślę, dwa-trzy tygodnie. A, i tutaj dali nam kufajki, walonki, czapki. To szykowali nas do pracy tam hen, pod Workutą, gdzie kolej budowali. W tej chwili sobie nawet nie przypominam, jak się ta miejscowość nazywała. Tutaj pracy jeszcze nie było.

O barkach, zatopionych w M. Białym zaczęło się mówić na statku. Przynajmniej do mnie dotarło, bo mogła być rozmowa, ale do mnie jakoś nie mogło dotrzeć. Natomiast na statku, wyraźnie to sobie przypominam, że rozmawiali "Kto wie, czy nas nie czeka to, co przed nami, że Rosjanie zatopili". Aha, że stary okręt był i tam załadowali i zatopili. Dokładnie nie mówiono, tylko że Polacy. Że oficerowie, raczej nie. Ale, że zatopili i że stary statek, to wyraźnie było.

I dotarliśmy tak gdzieś na brzeg, którego ja doprawdy nie mogę sobie uprzytomnić. Podróż trwała ~~mnijxw~~ ... gdzieś koło dwóch tygodni bym umieścił, ale raczej mniej niż więcej. Tak w tej chwili to kojarzę.

Po wylądowaniu dali nam sanki, na tych sankach kilofy, łopaty, te przedmioty, których trzeba używać do wykarczowania lasów, do zbierania torfu, bo tam jak się okazuje na tej dalekiej północy to oprócz lasu gruby torf był. A trzeba się było dostać do gruntu i jak sobie przypominam, tego torfu było nawet i do dwóch i więcej metrów. Tak gruby torf był. To trzeba było wynosić daleko poza teren, żeby nie przeszkadzało w budowie tej linii kolejowej. Mokry człowiek był, nie mógł się wysuszyć, i tak dalej.

Ze statku ciągnęliśmy sanki z tymi przedmiotami. ~~Były~~ Były po drodze takie punkty, gdzie już widocznie te transporty szły i były takie jakieś stajnie czy coś, w każdym razie tam nas nocowali. Natomiast jeżeli nie dotarliśmy, to trzeba było zakładać ognisko,



no i wtenczas kręcić się, wiercić we wszystkie strony, żeby nie zamarznąć.

W transporcie było od trzech do pięciu tysięcy ludzi. Tak mi się wydaje.

W Archangielsku zaczęła się ta wielonarodowość. Przeważali Polacy, to nie ulega wątpliwości, natomiast można było spotkać już i Litwinów, i Łotyszów, i z Rumunii, bardzo dużo z Besarabii było.

Żywili strasznie. Jak dzisiaj w tym punkcie dostaliśmy kaszę, to musieliśmy dojść do następnego etapu, żeby tam znowu dostać tę kaszę. Jak się nie dochodziło, to się nie dostawało. Ba, ale żeby to była kasza - woda z krupkami. Pamiętam też śledzie, ale tutaj nie było problemu, bo ~~był~~ śnieg był, to można sobie było poradzić. Ze sobą się nic nie wiozło, ~~za~~ poza tymi kilofami. Zapasów żadnych człowiek nie miał.

W transporcie było od trzech do pięciu tysięcy ludzi. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale było to rozbite na mniejsze grupy, po pięćset, siedemset, tysiąc. Nie wiem, na czym to polegało, że oni to w różne strony wysyłali, ja mówię o tej grupie, w której ja szedłem.

Taki epizod mi się przypomniał; jak te sanki ciągnęłem, w pewnym momencie widocznie się przewróciłem, bo tak mi było ciepło, dobrze, i nic nie wiedziałem, że jestem tam. Dopiero ci moi towarzysze, jak sobie przypominam, inżynier z Piotrkowa... Bocheński?... i porucznik Twardy - on przedtem miał inne nazwisko, Kaufman - ocucili mnie i dopiero wtedy się dowiedziałem, że zamarzałem. Oni mnie uratowali, bo mam wrażenie, że jakby ~~doszedł~~ doszedł, ~~jakby~~ ~~ich~~ ~~nazywali~~ ~~coś~~ ~~go~~ wtenczas nazywali "striełok", to znaczy żołnierz, to on by na pewno odpowiednio postąpił i ja bym się już nie znalazł wśród żyjących. Albo by mnie dobił, albo zostawił. I to nie było nic nadzwyczajnego, to tak, jak na codzień.

O ile sobie przypominam, to po jakimś etapie rozdzielili nas, tak że ja z tym inżynierem i porucznikiem w tym punkcie nie byłem.

I tak dotarłem do miejscowości, do miejsca budowy ~~kolei~~ kolei - 7 listopada, to musiał być 1940 rok. Dali nas do jakiegoś ciepłego baraku i dali nam rosół z jelenia z makaronem. No, tego makaronu tam niewiele było. I stąd powiedzieli, że jest święto rewolucji! I tak wiedziałem, że jest 7 listopada, bo tak bym nie wiedział, nikt nic nie wiedział.

Jaka to była miejscowość - zupełnie ~~wiem~~ nie wiem. Okazuje się, że oni mieli już wyznaczoną trasę ~~budowy~~ budowy tej kolei, i jednych z punktu centralnego wysyłali tam - do takiego i takiego punktu, ci do tego, a ci do tego. I stąd może tych, co mnie uratowali, ja z nimi się nie spotkałem.

Pierwsze ~~dwa~~ dwa-trzy tygodnie strasznej męki. Człowiek taki wycieńczony, bo to śnieg, mróz! Mróz był straszny. Tak jak człowiek splunął, to lód dochodził. I ~~nie~~ tylko walonki, fufajka.

Kiedyśmy doszli do tej miejscowości, gdzie dostałem rosół z tym pseudomakaronem - tam myślimy "o, jak to dobrze będzie...". No ale na drugi dzień to nie ma tak, do ~~roboty~~ roboty trzeba było iść. I <sup>po</sup>padłem pod brygadzystę - młodego Rosjanina.

<sup>po</sup>padłem pod brygadzystę - młodego Rosjanina. I ja miałem koszulę, białą. I dotąd było dobrze, dokąd mu nie oddałem tego. A później to już było gorzej. Dlaczego mu oddałem? No bo on chciał. ~~Człowiek~~

~~Tam~~ To nie jest tak, jak ja dzisiaj pytam - - dlaczego? Człowiek jest w jego rękach, i proszę wiedzieć, że ~~na~~ tam życie odbywało się na zasadzie "to, coś zarobił...", to nawet <sup>to nie musi być, że człowiek musi iść, żeby żyć. Nie pracować - nie jest. Nie ma, nie ma.</sup> nie to, coś zarobił! Ten, co wyrobił normę, dostawał ~~kaszy~~ kaszy ~~wieczorem~~ rano kaszy chochlę i wieczorem, to z własnego doświadczenia wiem, a na południe dostawał tak zwany pieróg, takie ciasto pieczone i w środku marchew pieczona. No i wracam do tej koszuli - dokąd tej koszuli nie oddałem,



to ten pierieżok, pieróg miałem. A później jak oddałem, to już i nie miałem. No i ta chochla kaszy~~ra~~ rano i wieczorem- to straszne było. I każdy nosił taki kociołek z sobą, przypasany ~~durpasa~~ i jak tylko .....

Ten pierwszy dzień mieszkaliśmy w barakach. A później już nie - - trzeba było iść z tego centralnego punktu na, przypuśćmy, pięćdziesiąty. Były takie ~~pałki~~ pałki, paliki, gdzie był wyznaczony. I tam mieliśmy sobie budować. Dali namiot wojskowy i trzeba było budować. To wszystko w lesie. Trzeba było ten namiot rozbić, później prycze zrobić, to znaczy belki takie, jedna na drugą, takie dwupoziomowe, no i więcej nic. Ani kocyka, ani nic.

Aha, i jeszcze trzeba było baraki pobudować, zonę zrobić, ogrodzić, trzeba było dla żołnierzy pobudować też.

Były takie wypadki, że człowiek idzie, pamiętam, ciemno, do roboty, a tu garmoszka gra "Rozkwitały jabłoni i grusze...". O widzi pan, taki paradoks.

Ale jeszcze wróćę do tych norm. Dostał pan, przypuśćmy, dwieście gram chleba, sto gram, pięćset, i nic pan nie dostał! Bo jeżeli brygadziście coś się nie podobało - koniec. Nawet gdyby wyrobił normę, toby nie dostał.

Praca polegała na wyrębie drzew. I piłą, i toporem, i to mało wyrąbać - - wykarczować trzeba było, odstawić daleko poza teren tej budowy, i kopać torf. Człowiek przychodził już ledwie, ledwie żywy. To ani się umyć... no, umyć to w ogóle nie ma mowy, ale nawet spać. To spanie było w ten sposób, że wyciągał nogi w walonkach, w tym samym, w czym pracowałem, w niczym więcej, na belkach. Podkurczałem tylko nogi.

O ile były takie, pamiętam, ~~gł~~ długie baraki, to był albo jeden, albo ~~zame~~ dwa piecyki, kozy tak zwane. Ale trzeba było palić w tym czasie, w którym się było. Nie, że jak przyjdzie, to żeby było ciepło. Nie, jak przyszło się z roboty, to trzeba było palić.



Ale to nie była pierwsza czynność po powrocie z roboty. Jak się już weszło do zony, do baraku - jak było już to zorganizowane - to każdy leciał na śmietnisko pod kuchnię z tym kociołkiem, dlatego, że mogły się zdarzyć jakaś spleśniała kasza czy coś. To kładł do tej banieczki, co miał przy sobie, wtenczas dawał śniegu i dopiero gotował sobie jeszcze raz na piecyku: teraz twoja kolej i teraz moja kolej, bo to małe piecyki były.

Najgorsze były te ich dyżury, które się nigdy nie zgadzały w liczeniu więźniów. Nieraz po apelu ~~gmx~~ - na apel trzeba było wychodzić na zewnątrz baraku, już po pracy - wchodziliśmy - nas liczono, wychodziliśmy - nas liczono - trzeba było stawać na apel na dworze. Tylko, do licha, im się nigdy nie zgadzało! Ciągłe albo za dużo, albo za mało. I bywały takie wypadki, że nas trzymali długo, albo już rozpuszcili i jeszcze raz wołali, bo im się nie zgadzało. Człowiek się na tych belach już jakoś ułożył i znów musiał lecieć.

To trwało, dokąd Sikorski nie podpisał tego paktu.

To była zima, potem wiosna, lato... Tak, lato, bo komary były. Tam krótkie jest lato, ale ta ~~xxx~~ plaga komarów jest tak strasznie dokuczliwa... Ci Rosjanie nosili kapelusze z takimi osłonami, ale to oni, a nie my.

O ile ja sobie kojarzę, to jak ktoś był taki, co zupełnie, ale to już zupełnie nie mógł, nie nadawał się, to oni dalej go wysyłali. I ja bym mógł powiedzieć, że tej śmiertelności nie widziałem. To znaczy, jeżeli ktoś już zupełnie się nie nadawał, to oni musieli mieć gdzieś taki punkt, gdzie tych słabych wysyłali. I tam na pewno była wielka śmiertelność.

Jeszcze wrócę do takiego wypadku. Otóż sierżant Klonowski z Bydgoszczy miał tyle odwagi - bo przecież tam lekarza nie było, tylko jakiś felczer, a może ~~ixniz~~ nawet nie felczer - że powiedział, że on jest sparaliżowany i do roboty nie pójdzie. A przecież tam przyrządy były takie: albo igłą, albo szpilą go musieli badać, czy

rzeczywiście nogi ma nieczułe i martwe. Biedny chłopak wytrzymał to wszystko widocznie, bo leżał i jego nigdzie nie~~my~~ wysyłali. Nie wiem, dlaczego. Taki wypadek był. I później, kiedy przyszło zwolnienie, no to on wstał i chodził.

Natomiast innych wysyłali. Bo to nie był obóz taki, żeby chorych leczyć. Tam trzeba było robić i czy się ma siły, czy nie. Natomiast jeżeli był taki, co już zupełnie nie miał sił, no to oni go gdzieś tam zabierali i widocznie mieli punkt sanitarny.

~~ExtymxxxSikorskiixpodpisałxpakt~~

O tym, że Hitler napadł na Związek Radziecki dowiedzieliśmy się jakoś latem 1941 roku. Nie pamiętam, jak to było, szliśmy ~~xxxxx~~ do roboty i ktoś powiedział, w każdym razie jakoś to dotarło do nas. Radość była wielka, że się wzięli obaj za łby, ale o wolności nie ~~y~~ było wtedy mowy. Wręcz odwrotnie, jeszcze większa musiała być dyscyplina. Bo wcześniej nieraz tak było - to zależało od żołnierza - że można było podejść do ognia, bo on się grzał. A potem zupełnie już nie wolno było.

Dopiero po jakimś czasie doszły wiadomości - ale też tak prywatnie - że Sikorski w Londynie podpisał ze Stalinem pakt, i z tego wywnioskowaliśmy, że nastąpi uwolnienie. Ale jeszcze nadal dyscyplina była ~~jąka~~, jaka była. Sam dostałem się do karcza za to, że coś tam z pracą mi nie poszło, czy nie chciałem iść, czy co, już nie pamiętam. W każdym razie musiałem przesiedzieć całą noc w karcu. To było takie izolowane miejsce, o tyle różnica z namiotem, że tam się jeść ~~nie~~ dostawało.

I któregoś dnia powiadają, że Polacy nie wychodzą do pracy. No to myśmy już trochę wiedzieli, o co chodzi. Przyszedł jakiś politruk czy enkawudzista i mówi, że Sikorski w Londynie podpisał ze Stalinem układ i teraz jesteśmy sojusznikami, wobec tego musimy pracować... - - ciągle jeszcze o tej pracy. Że musimy pracować, ażeby pokonać wroga, czyli Niemców.

To już długo nie trwało i któregoś tam dnia wzywają nas i dostajemy udostowierienie - taki dokument, świstek papieru, zwolnienie z obozu.



~~Wtedy dostaliśmy porcję chleba, zdaje się nawet jakąś konserwę,~~

Wtenczas dostaliśmy porcję chleba, zdaje się nawet jakąś konserwę, a nawet, nawet parę rubli? - ale konkretnie nie pamiętam. Aha, i że jesteśmy wolni i teraz pojedziemy na południe i będziemy w kołchozach robić. O organizacji armii ani słowa. Będziemy pracować, żeby pomóc Armii Czerwonej w zwycięstwie.

Taki obraz pamiętam, na jakiejś stacji Polak, który nie mógł dojechać i tak ~~zparkany~~ pod parkanem, płotem siadł, nie miał siły, i tam na pewno umarł. Nikt go nie ciągnął, bo każdy sam wiele nie miał sił.

I tak dojechaliśmy do Samarakandy. Wsadzili nas na barki i rzeką Amu-darią wieźli do Kazachstanu, do kołchozów. Ale już w tym czasie, na barkach, zaczęło się ~~organizować~~ - no, trudno powiedzieć, że organizować - w każdym razie już wybraliśmy jakiegoś swego przedstawiciela, Polaka, który z nimi rozmawiał, zaczęliśmy już trochę działać.

Dojechaliśmy do jakiegoś punktu i znowu nas rozdzielili, po różnych kołchozach. Ale tam dowiedzieliśmy się

Tymi barkami jechaliśmy bardzo długo. Tam dnie są upalne, ale noce zimne. Mokre i zimne. Dojechaliśmy do jakiegoś punktu i tam rozdzielili nas po różnych kołchozach. Takimi rykszami o wysokich kołach zawieźli nas, ~~xxixxxdrugixdzienxx~~ rozmieścili w ~~takich~~ takich nie barakach, raczej starych domach - i na drugi dzień do roboty. Trzeba było nawadniać ziemię, bo tam bawełnę się uprawia, i ciągnąć trzeba było jak koń taką sochę drewnianą. Tak oni tam orali, tak się żyło tam.

Kazacy traktowali nas dobrze, tak jak Rosjan z ~~xxnejxx~~ ~~Bxxxx~~ którejś tam republiki. Bo skąd on wiedział, że ja z Polski jestem?

Po tygodniu szliśmy do kantoru i dostałem taki rodzaj prosa i suszone morele. I za to się pracowało.

Natomiast jak się chciało oficjalnie powiedzieć, że się idzie do armii polskiej, to nie było mowy. I dlatego ci z kołchozów musieli na własną rękę dowiedzieć się, gdzie jest Buzułuk - - wiadomo było, że tam się organizuje armia - i jak tam dojechać. I jeżeli takiego uciekiniera NKWD złapało, no to były duże kłopoty.

Praca w kołchozie trwała - w moim przypadku - nie więcej jak dwa miesiące. I takie było nastawienie, że każdy Polak szedł do wojska polskiego. I pamiętam, że parę osób z tego kołchozu spotkałem potem w obozie wojskowym.

Pamiętam, jak ja uciekałem. Mnie ~~gaxKazacy~~ gonili Kazacy, żeby z powrotem do kołchozu. Nie wiem, jak się dowiedzieli, że ja uciekam. Nie mając wyjścia, a bałem się, że jak mnie oddadzą do NKWD, to będzie gorzej - skoczyłem do dziury, pewnie do grobu, bo to akurat cmentarz był. I jak dziś pamiętam, jak przelecieli z krzykiem, wżaskiem.

Nie znaleźli mnie i mogłem, po paru godzinach z tej jamy wyjść. A już wiedziałem, że jak NKWD dostanie mnie jako uciekiniera - to ryzyko było. Albo nie uciekać, albo uciekać, żeby nie złapali.

Później zdaje się były lepsze stosunki już, ale ja mówię, jak na początku było.

Dostałem się - do jakiej miejscowości, znowu nie wiem. Do stacji. I wiedziałem, że na jakiejś kolejnej stacji trzeba wysiąść. I tam będzie ten Buzułuk. Ale przecież do normalnego pociągu nie wsiądę. I stamtąd na front transporty szły - benzyna, oleje. Wobec tego skoczyłem na cysterne i miałem szczęście, że mnie żołnierz nie zauważył. Ale wiedziałem, że na tej stacji, na której mam wysiąść, ten pociąg się nie zatrzymuje. ~~Text by teksty x x x x x x x x~~ Długo nie jechałem - pół dnia czy coś takiego. I jakoś mi się udało, że zeskokczyłem, nikt mnie nie zauważył.

To jest teren bardzo falisty, ten Buzułuk.

To nie był jeszcze Buzułuk, to jakaś stacja była, nie pamiętam



nazwy teraz. Ja tu musiałem wyskoczyć, żeby dojść do Buzułuku. A że teren tam jest bardzo falisty, to ~~muszę powiedzieć~~ nie wiedziałem, ~~w którą stronę~~ stronę iść. I nie wiem, czy mi ktoś pomógł? Ale musiał ktoś powiedzieć, że tam są Polacy, bo gdzie bym ja się tak kręcił?

I jak tak szedłem, szedłem, z daleka widzę flagę polską... Nie da się tego określić...tylko ten człowiek, który to stracił...

Tam już byłem u siebie. Już wojsko, już to. Nie było uzbrojenia, bo Armia Czerwona nie dawała Polakom. Żywności nie było, a broni to tym bardziej. Ale już w armii byłem, w mundurze chodziłem.

W tym czasie doszło do tego, że przyjechał pułkownik Gryziński organizować do Anglii wojsko. To znaczy, II Korpus pod dowództwem Andersa został tu, natomiast do lotnictwa, marynarki i spadochronów zabrać tych młodych, zdolnych. Ale kto tam po tych obozach zdolny był! Ale trzeba było brać takich, jacy byli.

~~Nm~~ No i ja się zgłosiłem. Tu nie odgrywał roli patriotyzm, bo czy ta armia, czy ta, co za różnica. Mnie się wydaje, że jako młody chłopak, mnie chodziło o przygodę.

W Anglii było dużo oficerów, a nie było wojska. I stąd trzeba było zasilić lotnictwo, marynarkę, a Brygada Spadochronowa - nie wiem, czy Sosabowski miał już wtedy zamiar, czy nie -

Dużo się zgłosiło, ale była segregacja. Nie wiem, na czym to polega, bo ze mnie mówiąc szczerze ani lotnik, ani marynarz, ani psadochroniarz. Dlaczego mnie wzięli - nie wiem, ale wzięli.

Transporty wojska już szły wtedy do Persji. I takim transportem - ostatnim - myśmy wyjechali. Ale myśmy wyjechali nie jako jednostka, co do Anglii ma iść. Myśmy jechali jako tzw. ~~szkolenie~~ szalon, jak oni nazywają skład wagonów. Ale lista była i jak myśmy się ~~znaleźli~~

znaleźli już w Persji, to dopiero wyciągali z tych list tych do Anglii. Zawieźli nas wagonami do Krasnowotska i tam na statek. Ale na statku trzeba było siedzieć na dole, na górze nie wolno było.

Przypłynęliśmy do Pahlevi. Człowiek oszołomiony, bo widzi: handel, tu ~~xx~~ chleb, tu jajka, owoce... O Boże, gdzie to człowiek jest! Nad morzem porobili nam takie maty i tam się odpoczywało. Długośmy nie byli, odkarmili nas, dali daktyli.

Ci, co u generała Andersa, ci zostali, a tych do Anglii tam wyczytali i zawieźli dalej.

Dojechaliśmy do Bombaju. Było ostrzeżenie, żeby za daleko w pojedynkę nie wychodzić, ale można było coś zwiedzić.

Później znalazłem się w Kapsztadzie. I dopiero z Kapsztadu statkiem - to już był koniec 1941 roku - amerykańskim statkiem "Maria Poza" ~~xx~~ płynęliśmy. Długośmy płynęli, bo przed nami stoprowali Niemcy Polaków, co tak jak my płynęli. I żeby się przedrzeć przez kordon niemiecki, puszczano pojedyncze statki. I sam jeden ten amerykański statek wiózł nas do Anglii.

Trwało to koło miesiąca. I ciekawe - nie miałem choroby morskiej. Tak jak miałem na morzu Berentsa, to strach sobie dzisiaj przypominać - a tutaj nie. No, inne warunki były, dostaliśmy jakieś lekarstwa. No i byliśmy wojsko - jak był alarm lotniczy, to trzeba było wychodzić na górę. Broni nie mieliśmy, bo Amerykanie tylko strzelali, ale w każdym razie korki każdy miał, żeby w razie czego uratować się.

Dojechaliśmy do Anglii i tutaj był konkretny podział - ty do lotnictwa, ty do marynarki, ty do spadochronów. Ale też na ochotnika. No i ja sobie myślę: do marynarki nie, bo już wody miałem dosyć, no i poszedłem do spadochronów.

Początki szkolenia były w Szkocji. To trzeba się było wygimnastykować. Po takim dniu to człowiek schodkami na kolanach wchodził. I ciągle szykowaliśmy się na to, że Brygada Spadochronowa zostanie użyta tu w Polsce.



Szkolenie trwało ze dwa miesiące. A potem byliśmy w pogotowiu. Były trzy ostre pogotowia, no a potem wylądowaliśmy w Arnheim. Ja byłem w łączności.

Podczas wycofywania się przez Ren - masa ludzi przepływała wpław - ja, wobec tego, że miałem tę łączność (później mi zepsuli) i z Anglikami (oni pędzej dostali k jakąś łódź) przepłynęliśmy Ren. Ta przeprawa była makabryczna, ale się przeprawiło.

Później byłem w Holandii - to już w czasie powstania warszawskiego, bośmy słuchali komunikatów Warszawy - jakieś dwa tygodnie. Później pojechaliśmy do Anglii, a potem dali nas do okupacji Niemiec. Tam byliśmy jakiś czas, nie wiem, i z powrotem do Anglii. I zaczęło się "wracać - nie wracać".

I 3 kwietnia 1946 roku wróciłem.

Ale jeszcze taka ciekawostka na zakończenie: W 1939 roku 26 sierpnia, to jest dzień Matki Boskiej Częstochowskiej był zjazd młodzieży w Częstochowie, gdzie byłem. Nie wiem jakim sposobem znaleźliśmy się w takim towarzystwie, gdzie była jakaś pani, o której mówiono, że przepowiada. Ja do tego zupełnie nie byłem skłonny, zupełnie. Ale znalazłem się w tym otoczeniu, gdzie ta pani była. ~~xxxxxx~~ I ona tak jakoś specjalnie powiada do mnie: "Oj, ja widzę twoją całą aurę". I pomimo, że ja nie miałem zamiaru, bo inni tam chodzili do niej, a ja nie chciałem, to ona mówi do mnie: "Ja tobie muszę przepowiedzieć". I nie wiem, czy wzięła moją rękę, czy jak, w każdym razie powiada: "Wyjedziesz na wschód i nie będzie cię długo, długo w domu, ale wrócisz z zachodu".

Do dziś te jej słowa pamiętam.

Był taki chłopak, nie pamiętam już nazwiska, takie jak jakiś przedwojenny minister, Piotrowski czy jak, młody chłopak, z rozmowy by wynikało, że student. I on w obozie, pracując, żartował sobie, że powietrze zdrowe, dobre dla młodych i tak dalej. I on nawet w owym czasie normy stachanowskie wyrabiał, co było wielkim sukcesem - przypuśćmy, dostał dwie łyżki kaszy więcej, a to było dużo.

Ale on ten wysiłek miał, ale pokrycia nie miał. I z czasem się wyczerpał. I pamiętam jak dziś: był taki zsyp, hałda i on jak się przewrócił, tak go żołnierz popchnął i on poszedł na dół i więcej go nikt nie widział.

Inżynier Bocheński, on musiał być ludowcem, dlatego, że on podtrzymywał ducha wśród swoich, że królowa Anglii Sikorskiemu sztandar zielony wręczyła. Dla nas to może dzisiaj śmieszne jest, ale w owym czasie, kiedy człowiek żyje tam, to każda taka rzecz ona go podtrzymuje. Do tego stopnia on biedny był, że on psychicznie się załamał i wyraźnie mówił o samobójstwie. Ale tam nie można było popełnić samobójstwa, bo człowiek był tak pilnowany, że to by nie wyszło.

Teraz wrócę do siebie. Jak nieraz tak wracałem z tymi kilofami z pracy, tak ledwie, ledwie, i w duszy, sercu modliłem się, i tak mi się wydawało, że - człowiek musiał mieć coś uzmysłowionego - - wydawało mi się, że ten obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, że ja go widzę, tak czułem, tak mi się wydawało, jakbym go widział, on idzie i ja idę za nim.

I to mnie dawało - nie tylko mnie, ale wielu innym - siłę. Choć mam wrażenie, że gdyby nie Sikorski, to niewiele by z tego zostało, z tych ludzi. Niewiele by zostało. Już niewiele brakowało, żeby wykończyli, przynajmniej w tym rejonie. Drugiej zimy by niewiele przeżyło. Myśmy już na wyczerpaniu byli, jest jakaś



opatrność boża, że to się zbiegło w tym czasie.

Zapomniałem jeszcze powiedzieć o tyfusie w Kazachstanie. Już w wojsku - tyfus. Bo to namioty, wszy, brud. To straszne było, Boże kochany. Tyfus dziesiątkował. Lekarstw Rosjanie nie mieli, z zagranicy jeszcze nie było, bo potem to przyszły. Mołotow miał podobno powiedzieć, że Związek Radziecki ma tyle chleba i lekarstw, że może Polaków wyżywić i że nie potrzeba. No, może dla niego nie potrzeba było. I miejscowi, z Kazachstanu dawali nam czosnek, żeby jeść, uważali, że ten czosnek coś pomoże. Ale nic nie pomagał. I ksiądz ~~katolicki~~ już był i absencji dawał i tak to wszystko się wykańczało. I te cmentarze... Cmentarz w Katyniu to jest tylko tych, których rozstrzelali. ~~xxixxxx~~ Ale tyle, ile ciał polskich jest w Związku Radzieckim ~~zak~~ zakopanych...

Ja też zachorowałem, pomimo tego, że jak wielu innych czosnek jadłem (ja zresztą do dzisiaj lubię czosnek~~x~~, to znaczy jak ktoś je, to nie, ale sam to bardzo lubię.). W tym czasie już były lekarstwa, ale jeszcze nie było pod dostatkiem. I pamiętam, jak lekarz powiada: "Siostró, jemu nie dawać, bo on serce ma jeszcze dobre". I dalej już nic nie pamiętam, tylko jedno: jak ksiądz do nas przyszedł i nachylił się nade mną, i jego stuka biała, zwisająca - to pamiętam.

Chodziło o oszczędność lekarstw dla najgorszych.

Później wyszedłem. Chodzić człowiek nie mógł. A tu tylko grochówkę mają, nic więcej jeść nie dają, bo nie mają, bo kto im co da - Związek Radziecki nie da, bo sam nie ma. No i tę grochówkę jakoś pomału. Później to się przerzuciło na wątrobę, którą do dzisiaj odczuwam, no ale jakoś pomału, pomału...